

Sytuacja się zmienia a przyzwyczajenia zostają

Mechanizm władzy, przyglądanie mu się od różnych stron, dotykane najbardziej ukrytych trybików — to był zawsze temat-pokusa dla pisarzy różnych czasów. Jak to jest, gdy bierze się odpowiedzialność za los zbiorowości, staje się (z woli własnej lub z wyboru) na najwyższym podium, ogłasza się rzecznikiem nowego porządku. Także na scenie oglądaliśmy niezłą galerię władców, tyranów, dyktatorów, uzurpatorów, czy jakbyśmy ich jeszcze inaczej nazwali.

Nasza epoka wstrząsana przewrotami, ogarnięta rewolucyjnym wrzeniem, wypełniona niepokojami społecznymi, podsuwa szczególnie jasne przykłady do refleksji o sztuce rządzenia w wielu punktach świata, o śliskiej drodze, po jakiej stępują rządzący. I pomyśleć, że po części Aleksander Fredro całą rzecz wyłożył w dwuwierszu „Każda władza, zwłaszcza nadużyta, w szczególności lub smutku niższych niech swój wyrok czyta...” Złotymi myślami na

ten temat piekło wybrukowane. A konflikty współczesne mają coraz ostrzejszy i bardziej skomplikowany wyraz.

Do nieprostych układów naszych dni odnosi się w swoim najnowszym dramacie Ireneusz Iredyński: „Akcja „Terrorystów” toczy się, jak określa sam autor, „gdzieś w Ameryce Środkowej”, będącej widownią gwałtownych spięć politycznych. Pobrzeżają nawet u Iredyńskiego echa prawdziwych zdarzeń. Choćby głosna sprawa reporterów, którzy pełniąc swoje powinności dziennikarskie, zginęli w Nikaragui, o czym było swego czasu głośno. Na scenie też mamy parę reporterów, która wpadła w zasadzkę, a śmierć tych dwojga staje się atutem w grze politycznej, w przetargu o władzę między starym dyktatorem a nowym przywódcą oznaczonym Numer Jeden.

Nie jest to jednak teatr faktu, dokumentu. Jak się można domyślać, Iredyńskiemu chodziło o obnażenie bardzo specyficznej logiki myślenia

politycznego, przepaści, jaka rozciąga się między samą ideą a metodami zaszczepiania jej w życiu. Nie pierwszy Iredyński powątpiewa w opokę takich podstawowych słów jak sprawiedliwość, czy moralność, którym w praktyce politycznej przeciwstawia się jakże wygodne słowo konieczność, w całej jego rozciągłości.

Numer Jeden, który walczy z dyktaturą i snuje wizję wychowania nowego człowieka, nie przebiera w środkach prowadzących do celu. Mówi: „Potrzeba mi czystych ludzi na potem.” I dodaje: „Czystych, to znaczy oddanych sprawie...” Z całą bezwzględnością sprawdza stopień tego oddania u prostołinięgo młodego ideowca noszącego Numer Siedem. Rozprawia się z nim bez skrępow. Brutalność relacji mistrz — uczeń w wydaniu homo-politicus — to może być temat prawdziwego dramatu. Pomimo jednak tego, że autor pozwolił dożyć do finału tylko połowie swoich bohaterów — zgładził trzech spośród szóstki — „Terrorystów” nie wywołują głębszego rezonansu.

W prapremierowym przedstawieniu na scenie Teatru Polskiego w Warszawie na główną postać wyraźta Minister. Stary wyjadacz gładko wchodzi z dyktatury w nowy ruch wyzwolenczy. Oddaje Numerowi I usługi specjalne bez wyrzutów sumienia. „Sytuacja się zmienia, a przyzwyczajenia zostają” — oznajmia z autoironią. On to ze swą dwuznacznością, doświadczeniem i sceptycyzmem, jest najbardziej wiarygodną osobą dramatu. To jest rola, do któ-

rej został najlepiej dobrany klucz aktorski — Andrzeja Szczepkowskiego i reżyserski Jana Bratkowskiego. Gdy na scenie brak Ministra klimat przedstawienia wyraźnie traci. Sytuacje stają się sztuczne, jakby wymuszone. Postacie sztuki mało ze sobą kontaktują, w tym głębszym dramaturgicznym sensie.

Sztuka Iredyńskiego wspiera się na dialogach, krzyżowaniu racji. Różna jest jednak ich wartość poznawcza. Autor, chcąc obnażyć schematyzm myślenia, sam często wpada w pułapkę schematycznych stwierdzeń, i uproszczeń. Nawet wywiad z Numerem Jeden nie ma drapieżności, na jaką pozwala ta atrakcyjna forma. Wystarczy wspomnieć rozmowy Orlany Fallaci, która celuje w przypieraniu do muru największych polityków. Reżyserowi nie udało się przezwyciężyć barier między Osobami dramatu i rezonerskiego tonu, który nie tylko w życiu, ale i w teatrze brzmi fałszywie.

I autor, i ten sam reżyser, i aktorzy odnieśli znacznie większy sukces w „Oltarzu wzniesionym sobie”, wychodzącym również od powiązań człowieka z polityką i spustoszeń moralnych, jakich może ona dokonać. To jest wnikliwe studium psychologiczne bohatera, który posiadał w stopniu najwyższym sztukę przystosowania, przyjmując hierarchię fałszywych wartości za prawdziwe i wspinając się bez skrępow na tej drabinie. Dobrze, że warszawski Teatr Kameralny wznawia tę inscenizację.

BARBARA HENKEL